

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Hanuszkiewicz podtrzymuje tradycję

O ile pamiętam, było to już chyba pięć lat, „Sylwester u Hanuszkiewicza”. Publiczność warszawska byłaby szczerze rozczarowana, gdyby Hanuszkiewicz nie dał swej dorocznej, Sylwestrowej premiery, gdyby nie podtrzymał tradycji, rozpoczętej (w ostatnim dniu jego dyrekcji w Teatrze Narodowym) „Śpiewnikiem domowym” Moniuszki a kontynuowanej później (już na scenie teatru Ateneum) „Synem marnotrawnym” Trembeckiego, „Cydem” Corneille’a, a wreszcie „Marii i Woyzeckiem” Büchnera. Wszystkie te premiery były wydarzeniami nie tylko artystycznymi, lecz także towarzyskimi: spotykała się na nich elita kulturalna Warszawy, a także zaproszeni goście z Krakowa i Łodzi.

O wszystkich tych spektaklach pisałem na tych łamach, podkreślając zawsze olbrzymią energię i niewygasły temperament artystyczny Hanuszkiewicza, jego oszalałymi nieraz reżyserskie pomysły, a przede wszystkim najbardziej charakterystyczną cechą owych premier: dopuszczanie do głosu — i to zwykle pierwszego, decydującego o całym przedstawieniu — aktorów młodszych, nieraz debiutantów, z których wielu natychmiast potem zdobywało sobie nazwiska liczące się wśród naszego młodego aktorstwa. Praca z młodzieżą to szlachetne „hobby” Hanuszkiewicza, uprawiane przez niego jeszcze na sprawnie Teatru Narodowego, zawsze z największym powodzeniem.

Tak więc „Sylwester u Hanuszkiewicza” jest od pięciu lat światocznym wydarzeniem numer jeden Warszawy; uczestnictwo w nim stało się już dla wielu nieosiągalnym marzeniem. Myślę, że ten niewinny żarcik nie sprawi Hanuszkiewiczowi przykrości. Nie wyobrażam sobie zresztą, żeby ktoś, mogąc na jego przedstawieniu uczestniczyć, dobrowolnie z tego zrezygnował.

W tym roku Adam Hanuszkiewicz przygotował swój Sylwestrowy wieczór w Teatrze Studio, na jego małej scenie (w tzw. malarni), do której dostęp utrudniony jest kłódkami niezliczoną ilością schodów (nie ma windy), a sala oferuje widzom niezbyt wygodne ławy i niewiele tylko krzeseł z przywołanym oparciem (ja co prawda nie mogę się skarżyć, bo siedziałem właśnie na takim krześle). W tych warunkach oglądaliśmy sztukę Woody Allena pt. „Zagraj to jeszcze raz, Sam” (jakże to jeszcze raz, pamiętając, ów tytuł jest cytatem dialogu z „Casablanki”, słynnego filmu z Humphreym Bogartem i Ingrid Bergman,

przypomnianego niedawno w naszej telewizji).

Przyznam, że wybór przez Hanuszkiewicza tej właśnie sztuki na swą najnowszą, tak oczekiwaną premierę, był dla mnie niemałym zaskoczeniem. Woody Allen, pięćdziesięcioletni obecnie nowojorczyk, światowej sławy komik, autor licznych sztuk teatralnych i filmów (zwłaszcza słynnego „Manhattanu” i jeszcze słynniejszego „Zeliga”), jest niewątpliwym idolem pewnej części młodych intelektualistów, jego twórczość wydawała mi się jednak zawsze dość daleka od znanych zainteresowań i upodobań Hanuszkiewicza. Zapewne Hanuszkiewicz sam zdaje sobie sprawę z niespodzianki, jaką tym razem sprawił swoim widzom, skoro w programie stara się niejako usprawiedliwić swój wybór, stara się zneutralizować negatywny odruch widza wobec propozycji Woody Allena, tłumacząc jej niewątpliwą niesmak i — jak pisze — jej „nietakty” rzekomą „podskórną warstwą metafizyczną” sztuki, manifestacją rzekomej „Nowej Wrażliwości”.

Otóż siedząc na owym uprzywilejowanym krześle z oparciem i słuchając historyjki o kompleksach — głównie seksualnych — młodocianego bohatera sztuki, historyjki pełnej wulgaryzmów i prostactwa, której tylko jedna krótkutka scena przemówiła do mnie swym liryzmem i prawdziwą aurą poetycką, krótko mówiąc — historyjki o infantylnym durniu, którego bożyszczem jest nieporównanie meski Humphrey Bogart z „Casablanki”, nie mogłem, niestety, dopatrzyć się w niej żadnej „warstwy metafizycznej”, a proponowana „Nowa Wrażliwość” działała na mnie tej sztuki na Sylwestrową premierę pozostał dla mnie zagadką.

Zapewne, w jej realizacji Hanuszkiewicz dał wiele nowych dowodów inscenizacyjnej i reżyserskiej maestrii, zastosował wiele chwytów i pomysłów umożliwiających przesłanie do końca tej — wreszcie, dość nudnej — historii, a przede wszystkim całego spektaklu myślałem z nostalgią o zeszłorocznym „Woyzecku”, o dawniejszym „Cydzie” i „Synu marnotrawnym”, a nawet o... „Śpiewniku domowym”. Bo i w młodzieżowej obsadzie sztuki Woody Allena nie odnalazłem tym razem wyraźniej zapowiadających się talentów. W końcu trudno odnajdywać je co roku. Z przyjemnością oglądałem tylko Gabriellę Kownacką, no, ale to już aktorka dojrzała.

Jednakże należy cieszyć się z tego, że Hanuszkiewicz podtrzymuje tradycję! I czekać z zainteresowaniem na premierę z reszotą, której obyśmy doczekali, czego wszystkim życzę. A myślę, że Adam Hanuszkiewicz, którego kochem, szanuję i wielbię, nie powinien za złe staremu przyjacielowi tych kilku szeregów słów rozczarowania premierą tegoroczną.